

JESTEŚMY TOWAREM

W drastycznych warunkach i za niskie stawki pracownicy z Europy Środkowej od lat harowali w zakładach mięsnych Tönnies.

Czarę goryczy przelał dopiero koronawirus, który uwięził ich w kwarantannie.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

ZAKŁADY FIRMY TÖNNIES TO WIELKI kompleks zbudowany na obrzeżach miasteczka Rheda-Wiedenbrück na zachodzie Niemiec, w landzie Nadrenia Północna-Westfalia. Sterylnie białe ściany powodują, że można przejechać koło gmachu, nie zavrcając sobie głowy tym, co znajduje się w środku.

Takie pytanie warto sobie jednak zadać, bo budowla kryje przemysłowe imperium, które produkuje i zaopatruje w mięso nie tylko supermarkety w Niemczech czy w Polsce, ale wysyła produkty na cały świat.

Tönnies przez ostatnie dwie dekady potrafiła – jak chyba żadna inna firma w sektorze mięsnym – zbijać koszty i na niskich cenach budować swoją przewagę eksportową. W 2019 r. obroty firmy przekroczyły 7 mld euro. Udało się to w szczególności dzięki niskim płacom. Zdecydowana większość spośród ok. 7 tys. pracowników to obcokrajowcy – głównie z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zatrudniani na podejrzanych warunkach przez pośredników, czyli firmy współpracujące z Tönnies jako podwykonawcy.

W połowie czerwca zakłady tymczasowo zamknięto – wśród pracowników rozprzestrzenił się bowiem koronawirus.

Wszystkich poddano testom, które wykazały ponad 2 tys. infekcji. Władze powiatu nałożyły na pracowników Tönnies przymusową kwarantannę. Wśród nich znalazło się ok. 900 Polaków.

Chora sytuacja

Ludzi z zakładu łatwo rozpoznać. W głównych miasteczkach powiatu Gütersloh co rusz widać w oknach znużone twarze mężczyzn w wieku między 30 a 50 lat. W oczy rzucają się też grupki, które wychodzą na balkon albo przed klatkę schodową, aby zapalić papierosa.

Przed jednym z budynków w Rheda-Wiedenbrück stoją dwaj mężczyźni. Nazwijmy ich Marek i Tomasz. O swojej pracy w zakładach Tönnies zgadzają się mówić tylko przy zachowaniu anonimowości.

– Leci mi już trzeci tydzień na kwarantannie – zaczyna Marek. – U mnie w mieszkaniu pozytywni mieszkają z negatywnymi – tłumaczy.

Opowiada, jak dzwonił do tutejszego Gesundheitsamt (Urzędu ds. Zdrowia, odpowiednika sanepidu) z prośbą o przeniesienie zakazanych do innego lokum: – Pani powiedziała, że Niemcy już raz izolowali ludzi i teraz już tego nie mogą



robić. Zostawiłem to bez komentarza. To były inne czasy. A oni się tym teraz zaslaniają.

Mężczyźni odpalają kolejne papierosy i co chwila odruchowo sprawdzają wiadomości w telefonach. Mieszkający w okolicy Polacy mają swoje grupy na Facebooku i w komunikatorze WhatsApp. Z upływem czasu w dyskusjach internetowych narastają zniecierpliwienie i gniew.

Fala negatywnych komentarzy pojawia się po informacji władz powiatowych, że większość osób, u których wykryto wcześniej koronawirusa, po 14 dniach może zacząć opuszczać mieszkania, a osoby zdrowe muszą przez kolejne dwa tygodnie pozostać w kwarantannie. U „negatywnych” istnieje bowiem ryzyko, że nawet w ostatnim dniu kwarantanny mogli zarazić się od już zakażonych współlokatorów.



DAVID INDERLIED / DPA / PAP

Jeden z obłożonych kwarantanną budynków w miasteczku Verl, gdzie mieszkają pracownicy zakładów Tönnies pochodzący z Europy Środkowej, 20 czerwca 2020 r.

Marek i Tomasz pokazują na swoich telefonach komentarze innych ludzi siedzących w kwarantannie: „To już 16 dzień, prędzej zabije mnie depresja, a nie jakiś tam wirus” – pisze Ela. „To pokazuje, że nie mamy żadnych praw. Przecież oni mogą tak przedłużać te kwarantanny, ile chcą” – dodaje Sebastian. Powtarza się pogląd, że sytuacja jest „chora”, dosłownie i w przenośni.

Radź sobie sam

Przeglądanie postów na Facebooku przerywa przyjazd kilku minibusów, z których wysiadają żołnierze Bundeswehry. – O, znów będą nas testować – stwierdza Marek, a w jego tonie nie słyhać zdziwienia. W ostatnich tygodniach był testowany kilkakrotnie. Zawsze wychodził mu wynik negatywny. A przynajmniej tak się domyśla, bo oficjalnie o wynikach są informowani tylko ci, u których wy-

kryto koronawirusa. Jak u Tomasza, jego współlokatora.

– Miałem gorączkę i kaszel. Półtora tygodnia z pokoju nie wychodziłem. On mi dupę uratował – Tomasz pokazuje na Marka. – Kupił mi syrop i środki przeciwbólowe.

Żeby nie narażać innych, Tomasz wstał nocami, aby przygotować sobie jedzenie, i kładł się do łóżka rano, żeby mieć jak najmniejszy kontakt z pozostałymi.

Marek i Tomasz mają jeszcze dwóch współlokatorów. Mieszkanie w czwórce to całkiem wygodny układ. Nie jest bowiem wyjątkiem, że w dwupokojowych mieszkaniach tłoczy się po sześć-siedem dorosłych osób. – Tutaj mamy dobre warunki, bo bloki są nowe – mówi Tomasz. – Rumuni, oni to mają o wiele gorzej – dodaje. – Idź tam – pokazuje na dom po drugiej stronie ulicy. – Tam pokój jest przegrodzony lodówkami.

Mieszkania należą do pośredników, którzy rekrutują pracowników w Polsce. Są porozrzucane po całym powiecie. – Pierwszy raz jak tu przyjechałem, w roku 2016, to mnie rzucili na mieszkanie w Rietbergu – mówi Tomasz. – Zapytałem, jak mamy się dostać do pracy, czym mam jechać do zakładu – mężczyzna tłumaczy, że z Rietberga do Tunisa (tak spolszczają nazwę firmy) jest kilkanaście kilometrów. – Usłyszałem, że w Rietbergu mieszkają też chłopaki z innych działów i mamy się jakoś dogadać.

Marek dzieli się podobnymi przeżyciami: – Jak byłem pierwszy raz, rzucili mnie do Verl, 15 km od zakładu. Też zapytałem, jak dojadę. Powiedzieli: „Radź sobie”.

Opowieść przerywa żołnierz. Specjalny kombinezon ochronny szczególnie okrywa jego sylwetkę. Każdemu z pracowników wsadza głęboko do gardła pałeczkę →

↳ zakończoną wacikiem i pobiera wymaz. Jego koledzy wypełniają plik dokumentów. – Wyniki będą za kilka dni – mówi. Ani słowa o końcu kwarantanny.

Dziesięć ton w godzinę

Już po testach. Mężczyźni wracają do opowiadania swojej historii.

To, że w ogóle tutaj trafili, okazuje się dziełem przypadku. – Ogłoszenie znalazłem przez internet. Wpisałem w wyszukiwarce „praca w Niemczech” i tak znalazłem polskiego pośrednika – tłumaczy Marek. – Ja tak samo – dodaje Tomasz. – Nie wiedziałem nawet, że jadę do Tuisa. Wiedziałem tylko, że do Niemiec, do pracy.

Przed kłatką schodową wciąż pojawiają się nowe osoby, aby wyjść na dymka i pogadać z kolegami z innych mieszkań. Do rozmowy włącza się Piotr. W zakładzie pracuje dopiero od kilku miesięcy.

– Przyjechałem autobusem do Rhedy w niedzielę, była godzina szesnasta. Stałem przed biurem dwie godziny, zanim pracownik agencji przyjechał i otworzył mi drzwi na korytarz. Spaliśmy tam na podłodze, żeby przeczekać do poniedziałku na rozpoczęcie formalności. Takie powitanie. Gdybym przyjechał własnym autem, od razu pojechałbym z powrotem. Zostałem, bo nie miałem czym wrócić – mówi Piotr.

Nikt z tej trójki nie pracował wcześniej w przemyśle mięsny. – Jak mnie brygadzysta w pierwszy dzień zobaczył, zaczął się śmiać – mówi Marek, który jest niski, szczupły i nosi okulary. – Nie ma co ukrywać, tam jest zapierdół – stwierdza i opowiada o swoich obowiązkach: – Na przykład na drugiej zmianie przerabia się głównie bebecchy. Trafiają do ciebie kisty – wszyscy pracownicy używają lekko spolszczonego słowa *Kiste* na określenie skrzynki. – I musisz tak przez dzień z 40 ton przegibać. Zdarzało się, że się przerzuciło 10 ton w godzinę. Byłem spocony jak dzik. A plastikowe fartuchy ochronne są całe we krwi i osoczu – opowiada.

– Znam ludzi z Polski lub z Rumunii, dużo większych niż ja, po których widać było, że na siłowni ćwiczyli. Ale nie wyrabiali się. Trzy godziny, dziękuję i do domu – śmieje się.

Tylko w głównym zakładzie Tönnies w Rheda-Wiedenbrück codziennie pod nóż trafia ok. 20 tys. świń.



LUKASZ GRAJEWSKI

To osiedle, zamieszkałe przez pracowników firmy Tönnies, zostało na czas kwarantanny odgradzone płotem od reszty miasteczka. Verl, lipiec 2020 r.

Lepsze niż nic

– Jak skończyłem pierwszy dzień pracy i wyszedłem, to myślałem, że będę beczal – opowiada z kolei Daniel Białasik, który w Tönnies pracował kilka lat temu. – Robiłem codziennie po 12 godzin, np. od siedemnastej do piątej rano. – Od tego zimnego mięsa musiałem w nocy trzymać ręce spuszczone z łóżka, tak mi drętwiały – opowiada. Białasik mieszka z rodziną w Verl (tam, gdzie wcześniej mieszkał też Marek). To kilka bloków na uboczu miasta. Polacy, którzy się już stamtąd wynieśli, ostrzegają: – Verl to getto. Przed kwarantanną na dzień dobry dostałbyś tam w mordę.

Po tym, jak u mieszkających w Verl pracowników wykryto koronawirusa, burmistrz odgradził płotem budowlanym cały obszar budynków zamieszkałych przez Polaków, Rumunów i Bułgarów. Żeby nikt nie uciekł, na miejscu postawiono policjantów i pracowników firmy ochroniarskiej. Dla zamkniętych rodzin z dziećmi utworzono za blokami tymczasowy plac zabaw.

Choć Białasik od dawna pracuje gdzie indziej, także trafił na kwarantannę, gdyż jego sąsiedzi to pracownicy Tönnies.

Mężczyzna wraca pamięcią do swojego dawnego zakładu. Wspomina, że ciężką pracę często dodatkowo komplikowały relacje między pracownikami. Brygadziści odpowiadający za poszczególne linie produkcyjne to też Polacy, zatrudnieni przez tych samych pośredników co zwykli pracownicy. – Oni byli z góry duszeni, że musi być wyrobiony tonaż, więc nas też dusili – stwierdza. – Brygadzysta, który w zakładzie był megaświnia, teraz jest moim bliskim kolegą. Po prostu nie

chciał wtedy dostać opierdolu, więc cisnął – tłumaczy.

Marek i pozostali lokatorzy z Rhedy potwierdzają, że dobry brygadzysta to podstawa, a zły może codziennie psuć krew.

Białasik zdradza, co czasem dzieje się w zakładzie z mięsem, które trafia później do sklepów: – Kiedyś dostaliśmy 180 ton polędwicy, którą robiliśmy dla jednej z niby ekskluzywnych marek. Można ją kupić w Lidlu. Mięso było zamrożone, termin ważności upływał za tydzień. Dostaliśmy nowe etykiety z przedłużoną datą ważności, ale one nie chciały się naklejać, więc trzeba było wszystko rozmrozić, nakleić i ponownie zamrozić. I to później poszło do sklepów.

– Najgorsze świnstwo idzie jako mięso na grilla – opowiada. – To pływa w marynacie, bo inaczej by śmierdziało – na jego twarzy rozbawienie miesza się z obrzydzeniem.

Daniel Białasik w końcu zmienił pracę, sprowadził też żonę i trójkę dzieci. Jednak większość mężczyzn najczęściej zostawia rodziny w Polsce; odwiedzają je co parę tygodni. Nie znają niemieckiego, więc o integracji z lokalną ludnością nie może być mowy. Zamiast tego często pojawia się alkohol, który gra rolę jedynej wypełniacza czasu wolnego.

Sprawą warunków, w jakich żyją i pracują zatrudnieni w zakładach Tönnies, od dłuższego czasu zajmuje się polski konsul generalny w Kolonii Jakub Wawrzyniak. Mówi, że pracownicy, nawet jeśli są wykorzystywani, to nie szukają oferowanej pomocy: – Ludzie, którzy tutaj przyjeżdżają, boją się, ulegają presji pośredników i najprawdopodobniej tłumaczą sobie, że lepsza taka praca niż żadna.

Tonaż musi się zgadzać

Przy kolejnym spotkaniu Marek i Tomasz pokazują wyciągi, na których wyliczona jest końcowa kwota wypłacona za miesiąc pracy. – Wypłata jest z reguły na czas. Ale co najgorsze, nawet jak pracowałem 270 godzin w miesiącu, to na konto wpłynęło mi tylko 1600 euro – tłumaczy Marek.

– A teoretycznie możesz pracować maksymalnie 9,5 godziny dziennie – za uważy Tomasz. – Nadgodziny? Jakie nadgodziny? Pracowałem po 230–240 godzin i dostawałem 1200–1300 euro netto – oburza się. Zatrudnieni przez pośredników nie mają premii, które przysługują pracownikom zatrudnionym bezpośrednio przez firmę Tönnies. Nie mają także dodatkowych dni urlopowych za przepracowane soboty.

Pośrednik potrąca za ubranie robocze i mieszkanie. Jeśli ktoś był chory, odlicza mu się 10 euro za dzień, niby za „większe zużycie mieszkania zakładowego”. Za niestawienie się w pracy wlepią się karę 100 euro.

– Często jest tak, że nawet przepracowane godziny się nie zgadzają. W jednym miesiącu wyrobiłem 199 godzin, a pracowałem zawsze z drugim kolegą, mieliśmy tyle samo godzin. Ale na koniec u mnie brakowało 9 godzin – opowiada Marek. – Najczęściej różnice między tym, co wylicza firma, a tym, co sami sobie zapisujemy, to jakieś jedna-dwie godziny – dodaje. Pracownikom nie opłaca się więc wykłócać. Za to pośrednik, który zatrudnia ponad tysiąc osób, zarabia na takich sztuczkiach.

Mężczyźni twierdzą, że na wszelkie prośby o poprawę warunków firma pozostaje głucha. – Jeden brygadzysta poszedł prosić o podwyżkę – opowiada Tomasz. – Usłyszał, że jak mu się nie podoba, to droga wolna.

Marek określa swoją sytuację jako legalny handel żywym towarem: – Jesteśmy murzynami sprzedawanymi za bezcen. I sami się na to godzimy. Na zakładzie liczy się tylko tonaż. Niemcy mają premię od ilości i tylko to ich obchodzi. A my musimy zapieprzać jak dzikie osły. Przykładowo u nas na jednym dziale powinno być 30 osób, a czasem 10 zapije, nie przyjdzie i tych 20 ludzi musi wyrobić tyle samo. Musisz. Robota musi być zrobiona. Linia musi iść. Tonaż musi się zgadzać.

– Nie dajesz rady? To na rower i na Hanower. Tak się u nas gada – śmieje się Tomasz. Hanower to pierwsze duże miasto,

– Nie dajesz rady? To na rower i na Hanower.

Tak się u nas gada
– śmieje się jeden
z pracowników.

Hanower to pierwsze duże
miasto, z którego można
wracać do Polski.

z którego można planować podróż powrotną do Polski.

Kindergeld i „kuroniówka”

Piotr Mazurek z biura doradczego Uczciwa Mobilność tłumaczy, że niemiecki system nie jest przygotowany do ochrony zagranicznych pracowników zatrudnianych przez pośredników. – Tradycyjnie pracownicy dużych zakładów niemal automatycznie należą do związków, które walczą o ich interesy. Zatrudnieni w Tönnies są pozbawieni tego lobby – mówi.

Mazurek wyjaśnia także, że niemieckie prawo daje ograniczone możliwości kontroli przedsiębiorców. A w końcu nawet ci najbardziej poszkodowani pracownicy rezygnują przed podjęciem najważniejszego kroku: pójdźcie do sądu. To wiąże się ze zbyt dużymi kosztami.

Daniel Białasik ma wciąż dużo polskich znajomych, którzy pracują w zakładach Tönnies. – Gdyby nie *Kindergeld* [świadczenie na dziecko – red.], to Polacy by tu nie robili – twierdzi. – Bo zarabiają 1300–1400 euro netto, z czego kilkaset euro wydajesz na wyjazdy do rodziny w Polsce. Ale jak masz trójkę dzieci, to dostaniesz dodatkowe 600 euro zasiłku na dziecko.

Polacy pracujący w Niemczech dostają świadczenie na dzieci bez względu na to, czy one mieszkają w Niemczech, czy w Polsce. A pracownicy Tönnies, jak już powiedzieliśmy, zwykle zostawiają rodziny w Polsce. „Można otrzymać *Kindergeld* – podkreśla w ogłoszeniu o pracę jedna z firm pośredniczących.

Jest jeszcze jedna zaleta wynikająca z niemieckiego systemu pomocy społecznej, z której chętnie korzystają pracownicy Tönnies. – Pracuję rok, a później zjeżdżam na „kuroniówkę” – tłumaczy

Tomasz. Po takim okresie przepracowanym w Niemczech także obywatelom innych krajów Unii Europejskiej przysługuje niemiecki zasiłek dla bezrobotnych. Na trzy do sześciu miesięcy wyjeżdża więc do kraju duża grupa polskich pracowników. Razem z rodziną leczą zszargane nerwy. Później wracają.

Wirus z importu

W połowie lipca lokalne władze decydują, że Tönnies będzie mógł stopniowo wznowić produkcję. Równoległe zapada decyzja, że wraz ze wznowieniem produkcji kończy się obowiązek kwarantanny dla wszystkich, którzy nie dostali innych indywidualnych decyzji. Po miesięcznym zamknięciu pracownicy znów ustawią się przy liniach produkcyjnych.

Do tych z „indywidualną decyzją” należą Marek i Tomasz. W kwarantannie mają zostać dłużej, bo do 28 lipca. Informacje wydobywają sami, dzwoniąc do różnych instytucji. Oficjalnego potwierdzenia wciąż brak, choć testowani są co parę dni. – To wszystko jest chore. Zawsze się powtarzało, że w Niemczech jest *Ordnung*. W życiu już w to nie uwierzę – Marek jest o wiele bardziej zdenerwowany niż podczas pierwszej rozmowy. – Mówią, że to my, Polacy i Bułgarzy, przynieśliśmy wirusa, bośmy wyjechali na weekendy do domu – dodaje Tomasz.

To, że koronawirus został do niemieckiego zakładu przywleczony z zagranicy, sugerował już w połowie czerwca Armin Laschet, premier landu Nadrenia Północna-Westfalia (i zarazem jeden z kandydatów na przewodniczącego chadecckiej CDU).

W wewnętrznej korespondencji z dyplomata jednego z państw, z których pochodzą pracownicy Tönnies, szef powiatowego sztabu kryzysowego uspokaja, że wszystko odbywa się zgodnie z planem, a poza tym udało się „zapobiec rozprzestrzenianiu się infekcji wśród całej populacji”.

Chorzy zagraniczni pracownicy i uratowana przed infekcją „cała populacja”: taki podział denerwuje Marka. – Dla nich jesteśmy głównie wartymi Polaczkami. Teraz niby jesteśmy za wszystko winni – mówi z rozżaleniem. – A przecież to my jesteśmy ofiarami. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Artykuł powstał dzięki stypendium dziennikarskiemu, które autor otrzymał od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.